

Droga bez odwrotu. Pik Niepodległości (Lenina) 2006

Jest 11. sierpnia 2006, godzina... chyba 12:00. Dokładnego czasu nie sposób ustalić, no bo jak tu dokopać się do zegarka przez warstwy puchowych rękawic. Jeszcze nie do końca dociera do mnie, że stoję właśnie na wierzchołku siedmiotysięcznika. Zresztą warunki niespecjalnie sprzyjają rozmyślaniom – daje się we znaki lodowaty wiatr, z którego Pik Niepodległości (7134 m.n.p.m.) przecież słynie.

Wkrótce na szczyt dochodzą wyprawowi koledzy: Tomek Borowiec i Maciek Westerowski. Z trudem robimy kilka pamiątkowych zdjęć, bo zamarza tu wszystko – tak aparaty fotograficzne, jak i nasze ręce. Jednak już po chwili możemy się choć trochę rozgrzać – Tomek rozpala bowiem wymarzone od dawna... ognisko. Tak, najprawdziwszą wiatrę, chyba najwyższą płonąca na Ziemi. Wkrótce na wierzchołku pojawia się jeszcze dwoje uczestników naszego wyjazdu: Magda Derezińska i Jaś Lenczowski, którzy wyruszyli z obozu trzeciego jakiś czas po nas. Po paru minutach wszyscy razem schodzimy, ba, nawet zbiegamy, czując jak każdy krok nareszcie przywraca upragnione ciepło.

Tak mniej więcej wyglądały chwile, które spędziliśmy na szczycie Piku Niepodległości, wciąż bardziej znanego pod dawną nazwą – Pik Lenina. W zasadzie był to najważniejszy moment całej wyprawy, decydujący o jej powodzeniu, o tym, czy po powrocie do Polski będziemy mogli mówić o „sukcesie”. Ale tak naprawdę, z naszej perspektywy, był to po prostu kolejny etap mozolnego „targania” dzień po dniu do góry, wcale nie trudniejszy od innych. Może i łatwiejszy, bo przecież tutaj już nie trzeba było w upale nosić 30-kilogramowego plecaka, przeprowiać się z nim przez wezbraną rzekę ani przeskakiwać przez szczeliny rozmiętego lodowca.

Tak naprawdę najbardziej niewdzięcznym etapem tego „targania do góry” był chyba ten pierwszy – organizacyjny. Załatwienie sprzętu, dojazdu, zdobycie informacji o górze, a przede wszystkim - ustalenie składu wyprawy. Znacznym wsparciem okazali się tu nasi sponsorzy: katowicki sklep „Kon Tiki”, krakowska firma „Eksplo” a także patroni wyprawy: Klub Skialpinistyczny „Kandahar” oraz Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich w Katowicach.

Zanim jednak ostatecznie nasza jedenastka wyruszyła do Kirgistanu, wciąż rodziły się kolejne pytania, na które nie było odpowiedzi: Czy damy sobie radę, skoro wielu z nas ma doświadczenie zaledwie alpejskie? Czy w ogóle będziemy potrafili się porozumieć i współpracować, skoro tak naprawdę w większości słabo się znamy, a niektórzy wcale? Czy to, że postanowiliśmy nie korzystać, jak większość wypraw, z pomocy agencji turystycznych, lecz wszystko od początku organizować sami, nie zemści się na nas? Czy nie aresztują nas w tym „dzikim” Kirgistanie za brak jakiegoś głupiego papierka? A co jeśli, nie daj Boże, coś się stanie w górach? Czy w ogóle cały ten pomysł nie jest trochę na wyrost?

Chyba każdego z nas dręczyły takie wątpliwości, a kres położył im dopiero moment wyjazdu. Droga odwrotu zamknięta, koniec dylematów. 21. lipca 2006 o godzinie 5:18 żegnamy nasz wspaniały katowicki dworzec PKP, aby po ponad 20 godzinach wcale nie tak uciążliwej jazdy znaleźć się w nieco innej rzeczywistości – w Moskwie. Wbrew opowieściom tych, którzy byli tu ostatnio jeszcze w minionym systemie, nie ma tu brudu, smrodu i ubóstwa, lecz przepych i niesamowita wprost drożyzna. Po całym dniu włóczenia się po mieście, mając już dość wszechobecnych podobizn Lenina i innych towarzyszy, jedziemy metrem i autobusem na lotnisko Szeremietiewo 2 – jedyne miejsce noclegowe, na jakie nas stać. Po całkiem komfortowym noclegu, przed wylotem samolotu do

Kirgistanu, czeka nas pierwsza przykra niespodzianka – opłata za nadbagaż... Cóż, widać za dobrze nam szło jak dotąd.

Kolejny etap podróży to już Kirgistan, również bardziej cywilizowany niż się tego spodziewaliśmy. Kilka dni, które zajmuje nam dotarcie do bazy pod Pikiem Lenina, wystarcza, by obalić wpojone nam w Polsce mity o wschodniej dzicy, terroryzmie, napadach, wymuszaniu łapówek oraz wszelkich innych niebezpieczeństwach, mających rzekomo na nas czyhać na każdym kroku. Tych parę dni wystarcza, by spojrzeć na życie w Polsce, na całą zachodnią kulturę, z całkiem innej perspektywy. Europa to nie centrum świata, to raczej głęboka prowincja, ksenofobiczna i zamknięta we własnym kręgu. Trochę wstyd nam, że my nie wiemy o Kirgistanie nic, podczas gdy wiedza Kirgizów o Polsce i Europie jest całkiem spora – znają nawet „Czterech pancernych i psa”!

Szybko przestawiamy się na wolniejszy i bardziej „wyluzowany” tryb życia. W stolicy kraju – Biszkeku, a później w Osz, mieście, z którego wyruszają wyprawy pod Pik Lenina, całymi dniami oddajemy się naszej ulubionej miejskiej rozrywce - wędrówkom po bazarze. Mnóstwo kolorów, zapachów i smaków - wszystko aż kusi, żeby spróbować, zwłaszcza, że jest tak tanie. Teraz już nie boimy się terrorystów, za to szkolimy się w sztuce targowania się i wyszukiwania najtańszego transportu.

O ile z Biszkeku do Osz dojechaliśmy niedrogo i wygodnie busem, to z wybierając się z Osz do bazy na Łukowej Polanie zmuszeni jesteśmy skorzystać ze zorganizowanego przejazdu ciężarówką czyli *gruzowikiem*. Ten specyficzny pojazd nie posiada chyba wcale amortyzatorów, więc przez 9 godzin terenowej jazdy podskakujemy na siedzeniach przy każdej nierówności, dusimy się także od wciskającego się przez szpary pyłu. Po drodze widzimy wreszcie z bliska prawdziwe jurty, a w jednej z nich omal nie „załapujemy się” na... stypę. Kiedy w końcu docieramy do położonej na ok 3800 m n.p.m. bazy i lokujemy się w niej, postanawiamy zakończyć dzień wejściem na jeden z okolicznych czterotysięczników.

Naszą bazę prowadzi kirgiska rodzina. Poza sezonem mieszkają w mieście, dzieci chodzą do szkoły, on jest policjantem, ona nauczycielką. Szybko jednak przychodzi nam opuścić na długo to gościnne miejsce. Po kilku dniach kursowania z niemożliwym ciężarem na plecach przenosimy się „na stałe” do położonego na ok 4400 m n.p.m. obozu I. Odtąd przez około 2 tygodnie działalności górskiej to tutaj będziemy wracać, jak do domu, na dni odpoczynku. Wprawdzie od plecaków wszystko nas boli, za to możemy być dumni, że do „jedyńki” wszystko wnieśliśmy sami, nie korzystając, jak wyprawy zachodnie, z odpłatnego przewozu na koniach.

Obóz I, położony na bezpiecznym, nieruchomym, lodowcu, to ostatnie miejsce, gdzie dochodzimy bez skorup i raków. Możemy tu jeszcze delektować się luksusem wylegiwania się w słońcu przed namiotami, chodzenia w kłapkach, kąpeli (brrr), prania, a przede wszystkim swobodnego spacerowania, gdzie się komu podoba, bez obawy wpadnięcia do szczelin. Do obozu drugiego natomiast wyruszamy już w pełnym rynsztunku. Chodzenie bez liny nie jest tu najlepszym pomysłem, zwłaszcza, że jakoś ani razu nie udaje nam się wyruszyć bladym świtem i upalne słońce dopada nas na środku rozmiętego, szczeliniastego lodowca. Skoki się przez szczeliny to nie jedyna atrakcja tej części drogi; jest także trzymająca się nie wiadomo jakim cudem drabinka, a pod nią 50 metrów „lufy”, jest wreszcie tzw. ścianka z liną poręczową. Co za szczęście, że nasze plecaki są już teraz lżejsze.

Między „jedyńką” a „dwójką” pojawiają się też inne kłopoty. Tomkowi rozpadają się stare skorupy (ostatecznie na szczyt pójdzie w wypożyczonych od jakiegoś Rosjanina). Ujawniają się także w naszej grupie indywidualiści, którzy chcą wchodzić na górę po swojemu. Po co dźwigać namioty i jedzenie, kiedy mogą to zrobić inni? Po co łączyć się z bazą o umówionej godzinie? Po co się wiązać, gdy można znaleźć własną, lepszą, drogę przez lodowiec? Po co wreszcie uzgadniać, kto kiedy zaatakuje szczyt? Oni przecież wiedzą lepiej. Dla nas, pozostałych, to ważna nauka na przyszłość. Nauka, że dopiero tu, w wysokich górach, poznaje się naprawdę innych ludzi, tak samo jak poznaje się też i siebie.

Leżąca na 5300 m n.p.m. „dwójka” to zdecydowanie najmniej przyjazny z obozów. Kiedyś usytuowany był niżej, lecz kilkanaście lat temu lawina seraków zmiotła go wraz z czterdziestoma osobami – wszystkimi, którzy się tam znaleźli w tym momencie. Teraz namioty stłoczone są na piarzystym zboczu, po którym trudno się chodzi i z którego czasem spadają kamienne lawinki. Czystość tego miejsca także pozostawia wiele do życzenia. Nie przesiadujemy tam więc zbyt długo i, jak zwykle na dwa razy, wynosimy wszystko, co potrzebne na atak szczytowy, do położonej na ok. 6100 m n.p.m. „trójki”.

W obozie trzecim – miłe zaskoczenie. Spotykamy grupę Polaków z Opolą, którzy od kilku dni czekają tu, na wietrznej kopule szczytowej Piku Razdzielnej, na poprawę pogody, aby zmierzyć się z wyższym jeszcze o ok. 1000 metrów Pikiem Niepodległości. Zresztą to nie jedyni rodacy spotkani w górach. Kilkakrotnie mijamy się z Jankiem Witkowskim, którego tym razem szczyt „nie puścił” oraz Marcinem Hennigiem, który po wejściu na Pik Niepodległości, wkrótce zdobyć ma także Pik Pobiedy i zostać pierwszym polskim zdobywcą tytułu „śnieżnej pantery”.

Na razie myślimy jednak przede wszystkim o tym, czy nam samym się uda. Relacje spotkanych ludzi z różnych krajów napawają na przemian strachem i nadzieją. Podziwiamy twardych Rosjan z Syberii, którzy mimo złej pogody weszli na szczyt aż dziewiętnastoosobową grupą, podśmiewamy się z Hiszpanów, którzy mając lepszy sprzęt i jedzenie, wycofali się bez walki. A jak będzie z nami? Pod tym znakiem zapytania upływają trzy długie dni w „jedynce”, do której po założeniu wyższych obozów i zaaklimatyzowaniu się, schodzimy na odpoczynek. Nie jest już ciepło i przyjemnie: pada śnieg i deszcz. Ja, przyznając, boję się decydującego spotkania ze szczytem, pozostali chyba też. Snujemy się po obozie, gotujemy... byle już móc ruszyć do góry!

W następnych dniach akcja wreszcie nabiera tempa. „Jedyńka”, „dwójka”, „trójka” i... dzień ataku szczytowego. Przy dobrej, choć wietrznej pogodzie, w dobrej kondycji i dobrych humorach, w niezłym czasie, pięcioosobową grupą cało wchodzimy i schodzimy z Piku Niepodległości. A więc udało się. Udało – i co dalej?

Kilka dni później, po zniesieniu całego dobytku do „jedyńki”, objuczeni niczym konie kirgiskich tragarzy, drepczemy powoli w stronę bazy. Ja pod trzydziestokilowym ciężarem ledwo mogę oddychać i nie jestem w stanie myśleć o niczym. Ale dociera do mnie rozmowa chłopaków. Padają nazwy siedmio- a nawet ośmiotysięczników. Za rok, za dwa... Z górami jest tak, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Teraz wiem, że wkroczyliśmy na ścieżkę, z której nie ma już odwrotu do „normalnego”, wygodnego życia. Można przeżyć bez samochodu czy mieszkania, ale nie bez gór i ludzi gór. Szczyty bywają groźne i niebezpieczne, ale przecież najgorsze – telewizor, piwko, brzuszek – póki co nam nie grozi.